

# „NA DNIE” po angielsku

**John Osborne: „Music-hall” (The Entertainer). Przekład Kry-  
styny Tarnowskiej i Andrzeja Nowickiego. Teksty piosenek:  
Andrzej Nowicki. Reżyseria: Erwin Axer. Dekoracje i kostiumy:  
Stanisław Cegelski. Muzyka: Zbigniew Turski. Układ tańców:  
Barbara Fijewska. Prapremiera polska na scenie Teatru Współ-  
czesnego w Warszawie.**

Przed kilkoma miesiącami ogła-  
daliśmy w Teatrze Współczesnym  
sztukę amerykańskiego pisarza  
Thorntona Wildera pt. „Nasze mia-  
sto”. Prośłuchno opowiedziana hi-  
storia życia i przemiana dwóch  
rodzin w małym amerykańskim  
miasteczku zawierała wiele melan-  
choli i sentymentalizmu i wzru-  
szała widzów swym zadumanym,  
refleksyjnym smutkiem, a za-  
razem nie była pozabawiona swoiste-  
go uśmiechu ludzi, znajdujących  
swe małe szczęście wśród trosk i  
zmarwień dnia powszedniego.

Sztuka Osborne'a „The Entertainer” (której tytuł dałoby się  
chyba najciszej po polsku oddać  
brzmiałym trochę staroświecko-  
słowem „Antreprenier”) napisana  
w blisko 20 lat po „Naszym mi-  
ście” i to w Anglii, a nie w  
Ameryce, jest jakby dalszym  
ciągiem utworu Wildera. Spoty-  
kamy tu znowu przeciętną  
rodzinę anglosaską, jej troski,  
jej kłopoty i zmarwienia. Zbie-  
żnością tym bardziej rzucające  
się w oczy, że podobne role  
grają prawie ci sami aktorzy.  
Tylko, że cała akcja rozgrywa  
się w dwadzieścia lat później  
i jest znacznie tragiczniejsza,  
smutniejsza, bardziej gorzka i  
pesymistyczna. Czy to tylko  
przypadek, czy to tylko sprawa  
upodobań najwybitniejszego  
z młodych dramaturgów ang-  
ielskich, za jakiego John Os-  
borne powszechnie dziś uchod-  
zi? Wydaje się, że nie. Os-  
borne należy do grupy młodych  
pisarzy angielskich, zwanych  
„zagniewanymi młodymi ludź-  
mi” (angry young men), co  
można by na język polski prze-  
tłumaczyć słowem „wściekli”.  
Podnieśli oni swój „głos sprawa-  
wiedliwych” przeciw degrengola-  
dnie współczesnej Anglii, prze-  
ciw wojnie w Suezie, przeciw  
krzywdzie i znużeniu społecznemu,  
mówiąc otwarcie i niesłycha-

nie ostro o sprawach tak dro-  
gich wielbicielom „starej, pocz-  
ciwej Anglii” (old merry En-  
gland) wyszydzając bez litości  
wszystko, co było im najświęt-  
sze z wyleniałym lwem bry-  
tyjskim włącznie.

Wszystko jest w tej sztuce  
beznadziejne. Ludzie są podli,  
życie bez żadnych perspektyw,  
nudne i nędzne, dochodzą do  
czegoś tylko św. nie i kariero-  
wicz. Obraz czarny, że tylko  
się powiesić, lub pić bez miary  
i końca, co też robią wszy-  
scy bohaterowie sztuki, przed-  
stawiciele czcigodnej choć zu-  
bożalej aktorskiej rodziny Ri-  
ce'ów, którzy kończyli studia w  
najlepszych szkołach Anglii. I  
choć akcja rozgrywa się w  
prywatnym mieszkaniu, klimat  
sztuki przypomina dno nocnego  
azyłu, a jej ludzie coraz mniej  
mają wspólnego z mieszczan-  
stwem, z którego się wywodzą,  
a coraz więcej z dekadentami,  
wykolejącami lumpenproletariatu.

Koniec klasy, koniec świata  
bogatych i szczęśliwych mie-  
szczan, koniec kraju zdobyw-  
ców mórz, koniec „starej, pocz-  
ciwej Anglii”. To wszystko  
można wyczytać ze sztuki Os-  
borne'a. Nic też dziwnego, że po-  
to, aby osiągnąć taką słą dem-  
maskatorstwa i oskarżenia się-  
gnął autor do literatury kraju,  
który już przed przeszło pół-  
wiekiem wytoczył piorami  
swych najlepszych pisarzy po-  
dobny akt oskarżenia rodzimej  
burżuazji, rosyjskim „panom  
życia”.

W sztuce Osborne'a mówi się  
o dniu i klimacie jej przypomina  
może najbardziej „Na dzień”  
Gorkiego, jego „Mieszczan”, czy  
„Dzieci siołca”. Ale jest w niej

także wiele z zadumy i podtek-  
stów dzieł Czechowa, tak bar-  
dzo dziś popularnych w Anglii  
i jest coś z gorzkiej ironii wczes-  
nych i „n.eprzjemnych” sztuk  
Shawa, a młoda Jane uczestni-  
cząca w antywojennej manife-  
stacji na Trafalgar-Square jest

w prostej linii spadkobierczy-  
nią fabianistki Vivii z „Profesji  
pani Warren”. Są tu nawet son-  
gi i ballady, jak z Brechta, a  
więc mieszanina stylów nie by-  
le jaka. Ale wszystko to razem  
robi duże wrażenie, zespolone i  
scementowane talentem i od-  
wagą ideową młodego pisarza.  
Brak mu tylko jednego; cienia  
nadziei. I dlatego to wszystko,  
co u dawnych Rosjan, u Shawa  
czy nawet u francuskich egzy-  
stencjalistów (z którymi Os-  
borne'a i jego komilitonów tak-  
że niejedno łączy) zawierało za-  
wsze trochę wiary w człowieka,  
tutaj jest tak ponure i bez-  
nadziejne. W dodatku jest Os-  
borne bardzo angielski, a więc  
nawet w swym humorze po-  
zabawiony wdziękiem Sartre'a czy  
Camusa.

Co zrobić z taką sztuką, bardzo  
wartościową ideowo i artystycznie,  
ale tak trudną, zarówno dla publi-  
czności, jak i dla aktorów? Czy  
grać ją płasko i zewnętrznie, czy  
też sięgnąć do tradycji Stanisław-  
skiego, pogłębiać, psychologizować,  
grać z „czwartą ścianą”? Z powi-  
nowactwa z Gorkim i Czechowem  
wynika, że trzeba szukać „drugie-  
go dna”. Na scenie przecież nie  
się nie dzieje, nie ma żadnej ak-  
cji, wbrew utartym opiniom ci  
Anglicy gadają tak dużo jak Ro-  
sjanie, a piją jeszcze więcej. Cały  
tragizm utworu zawarty jest w dia-  
logu i klimacie, jeśli więc tego  
w przedstawieniu zabraknie ze sztuki  
nic nie zostanie, poza marną jej  
parodią.

Pisałem już przed kilkoma mie-  
siącami z okazji premiery pierwszej  
sztuki Osborne'a „Miłość i gniew”  
(Look back in anger) w „Ate-  
neum”, że tamto przedstawienie  
nie dawało żadnego wyobrażenia o  
twórczości tego wybitnego drama-  
turga. Przewidywałem też, że do-  
piero Axer pokaże nam prawdziwe-  
go Osborne'a. Wydało to sprze-  
ciwy niektórym ludzi teatru. Wy-  
daje mi się, że przewidywałem traf-  
nie. Erwin Axer zrozumiał, jak  
trzeba grać Osborne'a, stworzył

przedstawienie mądre i nastrojowe,  
ideowo celne i artystycznie cieka-  
we, którego się nie zapomina. Jest  
w nim pełna demaskatorska ostrość  
poetyczna Osborne'a, jest klimat  
tej sztuki i jest umiar, bez którego  
byłaby ona nie do wytrzymania.  
Jestem przekonany, że spokojnie i  
pозornie beznamiętne, pozornie  
obiektywistyczne przedstawienie,  
powie naszym miłośnikom „zachod-  
niego stylu życia” więcej, niż dzie-  
siątki artykułów na temat rozkładu  
kapitalizmu. Bo akcja tej sztuki  
nie rozgrywa się kiedyś przed kil-  
koma dziesięcioleściami, ale w roku  
1956, a więc prawie dziś.

Trzeba przyznać, że w tak peł-  
nym wykonaniu zamysłu reżyser-  
skiego pomógł Axerowi świetni ak-  
torzy, uczestniczący w tym przed-  
stawieniu. A więc przede wszyst-  
kim KAZIMIERZ OPALINSKI, niez-  
zrównany w roli starego aktora  
Billy Rice'a. Od czasu niezapa-  
mnanego doktora Czebudykina z  
„Trzech siostr” Czechowa nie pa-  
miałam tego świetnego aktora w  
tak dobrej roli. Opalinski był jako  
Billy Rice ogromnie wzruszający,  
właśnie dzięki temu, że wszystko  
rozgrywał w swym wnętrzu, na  
podtekstach i małych gestach i ru-  
chach, przy najoszczędniejszej mi-  
mice i ekspresji wewnętrznej. Do-  
skonała była też w roli starszej  
siostry, tragicznie ograniczonej i gło-  
boko mieszańskiejką pijackiej Phoe-  
be Rice — IRENA HORECKA. Tak  
zagrać scenę pijanstwa, jak to zro-  
biła Horecka — to wielka sztuka.  
Być wulgarną bez wulgarności, być  
głupią bez gipoty, i być odraża-  
jąca, wzbudzając jednocześnie  
współczucie — to potrafi tylko nie-  
wiele w Polsce aktorek.

Z wielką radością witamy zawsze  
na scenie TADEUSZA LOMNIC-  
KIEGO, niestety zbyt rzadko czyni-  
ącego w teatrze użytek ze swego  
talentu. I tym razem nie zawiedliśmy  
się. Lomnicki był w niewielkiej roli  
wykolejonego „buntownika”, tragicz-  
nego Franka Rice'a, znakomity. Za-  
równo po pijanemu jak i na trzeź-  
wo grał przez cały czas trage-  
die wartościowego, inteligentnego  
chłopca, który odmówił służby w  
wojsku kolonialistów i „pacyfika-  
torów”, przesiedział się za to przez  
pół roku w więzieniu, a teraz zła-  
many przez nieubłaganą machinę  
przemocy, wozł węgiel w jakimś  
szpitału. Piękną balladę o swym  
bracie, który zginął w czasie walk  
w Egipcie — zaśpiewał Lomnicki  
wręcz wstrząsająco.

Jedyną osobą normalną, która u-  
siłuje wyrwać się z rodziny wyko-  
lejenców jest córka Rice'ów Jane.  
To ona przyszła tu ze sztuk Shawa.  
Spokojna i opanowana, uczciwa i  
odważna, zrywa ze swym narzęco-  
nym, którego kocha, gdyż nie chce  
wychodzić za mąż za układnego i  
eleganckiego, bogatego karierowi-  
cza. Na odległość zwietrzyła w nim  
swym dobrym wechem — łajdaka,  
kanalie, która siedzi w nim nie-  
wzাপliwie. To ona jest nadzieją tej  
lepszej Anglii. Czy i ja pochłonę  
„dno”? Osborne stawia tu znak za-  
pytania i postać ta jest chyba jed-  
yną nieco jaśniejszą plamą w tej  
czarnej sztuce. Młoda aktorka BAR-

BARA WRZEŃSKA zagrała rolę  
Jane bardzo przekonująco. Do-  
strofiła się do poziomu swych głos-  
nych i znakomitych kolegów, a to  
znaczy już wiele. Od czasu „Zaprosze-  
nia do zamku” zrobiła naprawdę  
duże postępy. Była jako Jane  
nowoczesna dziewczyna, ale bez  
ekstrawagancji; ładnie przekazała  
swe serdeczne uczucie dla dziadka  
w akcie pierwszym i oburzenie po-  
mieszane ze współczuciem dla ojca  
w akcie drugim i trzecim.

A co z rolą tytułową sztuki? Po-  
stać wykolejonego aktora musie-  
liu Archie Rice'a należy już dziś  
do wiekich ról repertuaru najwy-  
bitniejszych aktorów świata. Grał  
ją w Londynie sam Olivier, a w  
Hamburгу kreował ją jeden z naj-  
większych aktorów niemieckich Gu-  
staf Gründgens. To rola dla artys-  
tów największej miary. JOZEF  
KONDRAT zagrał ją dobrze, miej-  
scami nawet bardzo dobrze. Szczeg-  
ólnie monologi z aktu drugiego i  
cały akt trzeci, oraz ostatnia pio-  
senka były w jego interpretacji  
głęboko wzruszające. A jednak  
chwilami brakło Kondratowi owe-  
go zniewalającego, szelmowskiego  
wdzięku i lekkości aktora music-  
hallu, który jest w tej chaplinow-  
skiej i tragicznej roli tak bardzo  
potrzebny. Nie umniejsza to jednak  
rzetelnego sukcesu, jaki odniósł  
w tej roli, trochę przerażającej jego  
możliwości, Józef Kondrat.

Czy przedstawienie „Music-hallu”  
pozbawione jest wad? Nie można  
by tego powiedzieć. Istotną jego wadą  
są pewne dłużyzny i zbyt wolne  
tempo spektaklu. Może należało po-  
czynić pewne skróty w tekście, a  
może aktorzy zagrać sztukę szy-  
bciej, kiedy lepiej panować będą nad  
jej tekstem. W każdym razie w tej  
chwili wartościowy sens sztuki nie  
zawsze dociera w pełni do świad-  
omości znużonej, szczególnie pod ko-  
niec spektaklu, publiczności. Te  
wady można chyba jednak w przy-  
szłości usunąć.

Znamy dodatek dwie sztuki Os-  
borne'a. W „Music-hallu” doszedł  
on do kranców i krysu gorczy i pe-  
symizmu. Nie wydaje się, aby stam-  
tąd prowadziły jeszcze dalsze drog-  
w tym samym kierunku. Egzysten-  
cjizm, pesymizm i czarna litera-  
tura, tak modne w powojennym  
świecie w ciągu minionego dziesię-  
ciolecia, zachęcają dziś wyczerpy-  
wać swe możliwości, nużąc już za-  
równo twórców, jak i odbiorców.  
Jedni i drudzy pytają: i co dalej?  
Nie można przecież bez końca bia-  
dać. To staje się nudne. Czy Os-  
borne znalazł te nową drogę, czy  
utrafił znowu w ton epoki, tak jak  
utrafił przed kilku laty, co przy-  
niosło mu światowy rozgłos? Od tego  
zależy powodzenie jego następ-  
nych sztuk. Czekamy na nie z za-  
ciekawieniem i niecierpliwością,  
gdź w dość chudej dramaturgii  
współczesnej jest to na pewno jed-  
na z najciekawszych i najbliższych  
nam indywidualności ideowych i  
artystycznych, z która wiąże się  
wielkie nadzieje nie tylko angiel-  
skiej, lecz i światowej literatury.